

NA CENZUROWANYM



ANNA NOGAJ

SŁODKO-GORZKI MELANŻ EWY KLAJMAN-GOMOLIŃSKIEJ

Muszę przyznać, że tytuł zbioru *W samym miąższu pomarańczy* Ewy Klajman-Gomolińskiej na początku mocno mnie zaintrygował. Nie znając dotychczasowej twórczości autorki mogłam właśnie na podstawie strony tytułowej domyślać się (co jak wiadomo nie jest dobrą praktyką), jakiej materii teksty zamieściła w swojej nowej książce. Niestety, moje domniemania tym razem nie sprawdziły się i zostałam wyprowadzona na manowce, myśląc, iż lektura ta pobiegnie innym torem.

Jeżeli miałabym zamknąć recenzję w jednym zdaniu, powiedziałabym tylko tyle, iż smakując poezji, którą zaaplikowano nam w tym tomiku, możemy czuć na podniebieniu niesamowitą błogość, albo też z dezaprobatą wykrzywiać usta. No cóż, w samym miąższu pomarańczy nie zawsze musi być słodko, ale i bywa czasami cierpko. Taki więc słodko-gorzki koktajl przyjdzie wypić tym, którzy zdecydują się udać w podróż traktem wydeptanym stopami Ewy Klajman-Gomolińskiej.

A więc ruszajmy.

Pierwsza refleksja nasuwająca się już podczas lektury brzmi - za dużo filozofowania, emfazy i patosu. Bardzo często trudno przedostać się przez wierzchnią warstwę wiersza do tego, co w nim istotne, do jego przekazu. Aby to uczynić należy słowo po słowie, wers po wersie rozkładać go na czynniki pierwsze, a na końcu poukładać raz jeszcze w jedną całość. Oczywiście z taką żmudną pracą nie będziemy mieli do czynienia przy każdym tekście, lub inaczej, nie każdy miał je będzie, ale problemy mogą się pojawić. Wszystko zależy od erudycji czytelnika i stopnia świadomości kulturalno-artystycznej, a już na pewno od inklinacji do tego typu poezji, bardzo surowej i wymagającej, pozbawionej trawiącego ją od środka ognia. Pierwszy wiersz *Biedronka na terakocie* nie zapowiada tego

typu problemów, ba, wręcz przeciwnie, napisany jest lekko i sugestywnie. I wszystko byłoby *in plus*, gdyby nie pointa, niezbyt udana, nie pasująca do całości. Otóż tytułowe stworzonko kończy swój żywot pod męskim kapciem i staje się „etiudą rozmazanej plamy”. Można by zakończyć nadać równie dramatyczny wydźwięk ubierając je jednak w inną słowną otoczkę.

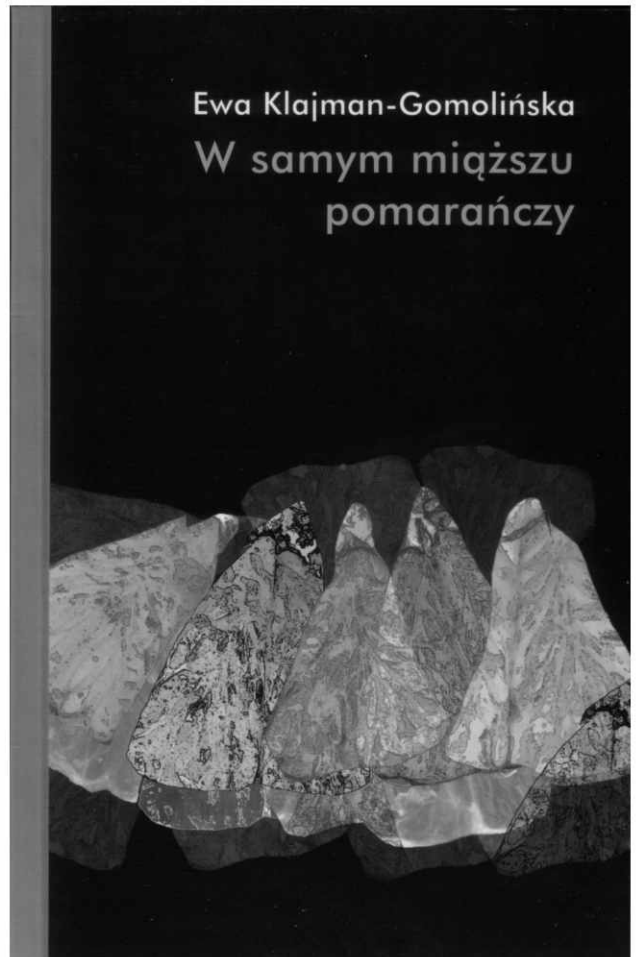
Dalej autorka niebezpiecznie nurza się w kulturalnych kontekstach, mitologicznych odniesieniach itepe itede, co razi sztucnością i nadaje tekstom niepotrzebnego koturnu. Nie można powiedzieć, że wiersze te napisane są źle, bo tak nie jest, ale cóż po formie, gdy wewnątrz ziele pustką i chłodem. Brakuje tutaj życia i wewnętrznej energii oraz odpowiedzi na zasadnicze pytanie - jak boli cię człowiek, jak odczuwasz świat? Toteż mniej wymagającym czytelnikom, szukającym w poezji raczej metafizycznego dreszczyku, trudno będzie się wspiąć na wyżyny poetyckiego Parnasu, aby podsłuchać co też takiego szepta zadumana Cartimandua, która „przypomina o / wielkich przyływach zadumania”, czy Panny z Awinionu bijące brawa „kolumną o bryłę / formą o materię”. Takie wiersze są potrzebne, owszem, ale w tym zbioru zdecydowanie przeważają, stanowią epicentrum głównej myśli poetki. Trudno przez to sprecyzować rysunek podmiotu lirycznego, który stoi gdzieś obok i sucho relacjonuje (za)słyszane fakty beznamiętnym tonem obserwatora. Dzięki zastosowaniu takiej praktyki poetyckiej przekaz zostaje odarty ze szczerości i intymności, często razi sztucnością. No dobrze. Ale nie można naświetlać jedynie tego, co razi w w(i)ers(z)ach pani Ewy, bo już nawet „Aoidos milknie zażenowaniem” (*Mitologia kubizmu*). Jest tu kilka tekstów wyjątkowo pięknych, do których

się wraca i wraca, wciąż odkrywając ich głębię i delikatność. W *Bretonskich mogiłach* np. aspekty kulturalne są umiejętnie wplecione i ładnie komponują z całością, podsycając baśniowość tekstu. Dużo tu dobrych słownych zestawień, światła, koloru, co składa się na niezwykle subtelny i wyrazisty obraz.

Kolejny wiersz-perelka to *Ikariada*, krótki, ale brzemienny semantycznie i frapujący. Można by przypiąć mu etykietkę maksimum treści i minimum słów, dodając - pełnia estetycznej satysfakcji. Natomiast w mistrzowsko skrojonym liryku *Sopot* podmiot liryczny zdecydowanie ukazuje swoją twarz, nie ukrywając się już za słowem. Widzimy go zatopionego w kontemplacji morskiego pejzażu oraz poddającego się głębszej refleksji egzystencjalnej rodzącej się z wyjątkowego spotkania z naturą. „Morze ma futro / Kota perskiego (...) / Chciałoby się zanurzyć / W otchłani puchu / Ale strach / Że jego sól / Poprzeplata się / Z moimi rzęsami”. Dostrzegamy tu przede wszystkim podziw nad pięknem przyrody, ale i obawę przed chwilowym zjednoczeniem z nią, lęk o swoje małe „ja” wobec jej ogromu i mocy żywiołu.

Erupcję uczuć może wywołać wiersz *Stoję, stoję...*, utkany z materii nad wyraz delikatnej, z wersum prowadzonym spokojnie od początku do końca i rezerwuarem plastycznych obrazów. To uchwycona w kadrze przemieniających się sytuacji jedna z chwil, budząca do głębszych emocji. „Stoję obok ciebie / Rozsypane zielone kamienie tworzą krzyż (...) Tłę się, płonę i gasnę”. I ja, zadumana, stoję i płonę zbliżając się w końcu do ognia uczuć bohaterki tegoż zbioru.

Na szczególną uwagę zasługuje wiersz *Baw się ze mną*, którego dramaturgię wyznacza dążenie podmiotu lirycznego do spotkania z drugim człowiekiem, do koincydencji z nim. Odczytamy tu m.in. taki passus: „Otwórz mi drzwi / Wpuść mnie do środka, / Wpuść mnie do siebie”. Chęć wypełnienia w sobie pustki wywołanej samotnością, dotarcia do kogoś, kto szczelnie ukryty przed światem, przed ludźmi, z każdym



wersem będzie się pogłębiać. W drugiej zwrotce dramatyczne wołanie za człowiekiem stanie się już niemal błaganiem o możliwość kontaktu. Pointa natomiast jest już (nie)oczekiwanym bardzo mocnym akcentem: „Będziemy rzucać w siebie klockami”(…) / Do pierwszego otarcia naskórka, guza na czole, zakrwawionego kolana”. Dramatyczna jest ta wizja, ale bardzo trafnie diagnozująca kondycję człowieka żyjącego w XXI wieku.

Kolejne żądanie zwrócenia na siebie uwagi pojawia się w wierszu *Tylko mnie dostrzeż!* Skierowane tym razem do istoty transcendentnej - anioła - staje się w pewnym sensie modlitwą, ale pokorną i cichą. Podmiot przyznaje się tu do swojej małości, ludzkich ograniczeń względem niebiańskiego wysłannika „Tak pięknie śpiewasz / Ale ja wcale cię nie mogę słuchać” - i dalej - „Podążać za tobą się nie da /

Bo tchu z piersi ubywa z wiekiem". Rysuje nieprzekraczalną granicę między sobą a Nim, choć z drugiej strony wyraża pragnienie spotkania, choćby miało ono być tylko przypieczone wymianą spojrzeń.

Dla wymienionych powyżej tekstów, oraz kilku innych, jak choćby *Marzyciel getta*, ***(*Moje niebo powstało z płomieni*) czy *** (*Jak powiedzieć tęsknię*) naprawdę warto sięgnąć po ten tomik. Reszta już zdecydowanie nie dla tych, którzy poszukują w poezji spokoju, emocji i pulsującego życia ukrytego pod naskórkiem nie wydumanych środków artystycznych. Tym czytelnikom, którzy zdecydują się wybrać w podróż z Ewą Klajman-Gomolińską grożą

(nie)przypadkowe potknięcia o wyrastające na ich drodze raz po raz znaki zapytania. Rozmowy z Heglem czy z Nietschem po chwili nużą niosąc ze sobą jedynie wartości estetyczne, gubiąc, niestety, po drodze wartości etyczne. A jeśli takowe są, to szczelnie ukryte pod palimpsestową warstwą wersów i trudno je wyłuskać, a tym bardziej poczuć. Jednak zgrabnie je omijając można wejść w krainy „żywych” i zaczerpnąć świeżego lirycznego oddechu. No, chyba, że ktoś woli stoicką *apathei*.

Ewa Klajman-Gomolińska, *W samym miąższu pomarańczy*,
Lublin 2007, s. 64.



DAREK DOROSZ

Los(t)

Programista się nie spisał
Wirusy skaziły program
Nie uzdrowiła Miłość
Zaraza innego systemu
Error !!!
Wiara...
Zły login
Error !!!
Przyjaźń
Szybko rozłączyła się sieć
www
I Escape
W-inny świat

Późnojesienna para

Pośród preferowanych póż
pełnosprawnych piękniśców
Podąża para przygarbionych partnerów
Pogodne profile
Pomimo piętn przejść
Powolny pochód
Pomimo pędu przechodniów
Parada prawdy
Prawda ?...

Przyjaźń

Poznawszy parę pięknych panien
Poczuwam przekleństwo...
Pęczki posiadanych przywołują pytania:
Przeklnę przyszłe pretendenci przyjaźni ?
Ponownie prawdziwie pokocham ?
Przyjaźń potrzebniejsza ?
Popsuta pikawka po przejściach... ?

MARIUSZ KARGUL

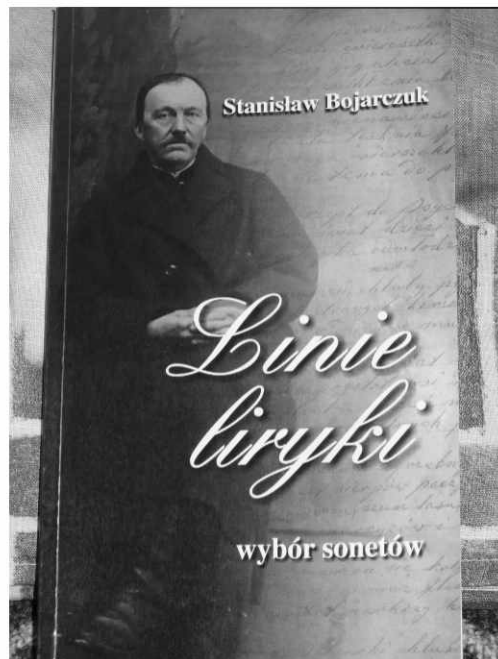
LEPIEJ PÓŹNO NIŻ...

„Stoję na stacji”.
Lokomotywa

Sporadyczne informacje i próbki twórczości Stanisława Bojarczuka zaczęły pojawiać się w prasie lokalnej i regionalnej za sprawą Józefa Nikodema Kłosowskiego i Józefa Czechowicza jeszcze w latach 20. i 30. minionego stulecia. Nie wywołało to jednak żadnego oddźwięku w środowisku literackim, czy też szerszego zainteresowania osobą Petrarkowego epigona. Z jednej strony gniotła go chłopska dola, a z drugiej ciągnęło się za nim, niczym jesienne mgły, odium niebytu artystycznego. Sytuacja owa trwała do końca nie tak znowu poetycznego życia.

Autor *Blasków i dźwięków* oraz *Linii liryki* nie znał zapewne pojęcia autokreacji. Nie było go komu promować, ani tym bardziej czuć nad jakością PR-u. Zaiste trudno wyobrazić sobie Bojarczuka zabiegającego o łaskę i względy jemu współczesnych. To bardziej trąciło stajnię Augiasza niż Olimpem, któremu poświęcił tyle uwagi w swoich sonetach. Nieodrodny syn wieku XIX świadomie wybrał arcytrudną sztukę tworzenia właśnie w tym gatunku literackim. Wyszedł z założenia, że skoro ma zacząć w ogóle pisać, powinien naśladować wzorce pozostawione przez wielkich mistrzów antyku i renesansu. Nie chciał w jakikolwiek sposób „eksperymentować”. A miał przecież wielką szansę zainicjowania na przykład awangardowego lub wręcz futurystycznego kierunku w poezji ludowej. Nie zainteresowała go bliżej jednak żadna z tych opcji.

Być może i za bardzo nie było dla kogo czynić podobnych literackich wolt w ówczesnym nad wyraz „partykularnym” Krasnymstawie? Dzisiaj poeta pokroju autora 500 „syriuszek” (czyli podwójnych sonetów), miałyby do udźwignięcia na swych barkach całkiem uzasadnioną misję zwołania okolicznej gawiedzi na miejski rynek - mniejsza o to, że w trakcie jego rewitalizacji, w celu wykonania jakiegoś performance'u. Chociażby rytualnego



pokrojenia własnych wierszy kozikiem, a następnie wrzucenia uzyskanych skrawków do chłopskiego kapelusza, skąd wyciągałaby je nadobna krasula. Dzięki temu z jednego sonetu dałoby się pozyskać surowiec na kilka niezłych haiku. O ile mi wiadomo, Bojarczuk nie stosował tego typu socjotechnik, ale sam pomyślał jak najbardziej nadaje się do praktycznego zastosowania.

Jakieś drobne wyrazy uznania i gratyfikacje, które spłynęły na Bojarczuka tuż przed jego śmiercią, dowiodły tylko po raz kolejny braku wycucia i rozeznania sytuacji przez czynniki odpowiedzialne za sprawy kultury. Gdyby nie praca wykonana przez Józefa N. Kłosowskiego i Zbigniewa Stepka, zapewne nigdy nie doszłoby do druku pierwszego (i przez 51 lat jedyne!) wyboru sonetów krasnostawskiego samouka. Przez te wszystkie lata należało mieć całkiem uzasadnione przekonanie, że w całej sprawie nie „wypłynie” już na powierzchnię nic nowego.

Owszem, od czasu do czasu, napisano coś o

intrygującym oryginale z zapomnianej przez Boga i krytyków miłośnicy, lecz na tym właściwie poprzestawano. Debiutanckie *Blaski i dźwięki* przeszły niemal bezdźwięcznie przed oczyma potencjalnych czytelników. Dopiero na początku lat 80. XX wieku dr Józef Zięba z Lublina przyjrzał się bliżej spuściźnie po Bojarczuku zgromadzonej w Oddziale Literackim Muzeum Lubelskiego im. J. Czechowicza. Przyjrzał, przejrzał i stwierdził, że ma oto przed sobą klejnot literacki pierwszego blasku!

Praca nad rękopisami autora *Burzy, Sielańskich sielanek, Świtu* i setek innych sonetów do łatwych i wdzięcznych bynajmniej nie należała. Trzeba było poświęcić wiele czasu i cierpliwości na ustalenie ostatecznej wersji wielu utworów. Ale cały wysiłek przyniósł nadspodziewanie owocne rezultaty. Doktorowi J. Ziębemu udało się „przebrać” z nich około 300 najbardziej reprezentatywnych i wartościowych literacko wierszy. Poprzedził je obszernym wstępem i „egzegezą” najważniejszych wątków, charakteryzujących wyjątkowe dokonania twórcze quasi-dziwaka znanego jako „Wielgiego Dołu”. Po tych zabiegach pozostał jeszcze tylko jeden „drobny” problem - wydanie całego zbioru, zresztą pod tytułem zaproponowanym jeszcze za życia przez samego Bojarczuka, tj. *Linii liryki*.

No i tutaj zaczęła się prawdziwa batalia o doprowadzenie całej historii do szczęśliwego końca. Powszechna inercja, która otoczyła niewidzialnym woalem Bojarczuka, jego sonety i pracę Józefa Zięby, poczęła z czasem przypominać klątwę jakiegoś faraona lub urok rzucony przez ociemniałego aparatczyka. A wystarczyło choćby tylko na chwilę wczytać się w następujące słowa, by przejrzeć nieco na oczy: "Jam mocarny, demonom swą moc przeciwstawię. / Nie mam współzawodnika tu, w Szczeka-rzewstawie, / a ślad mego istnienia w sonetach zostawię" (Świt).

Przez długie lata nie pomagały żadne zabiegi mające na celu uświadomienie lokalnym władzom i opinii publicznej doniosłości danego zagadnienia. Jakoś nikomu nie mogło przyjść do głowy, że na Bojarczuku

można zrobić po prostu „dobry interes” dla miasta i okolicy (parafrazując słowa Andrzeja D. Misiury). W lutym 2007 roku dr J. Zięba złożył swój bezcenny maszynopis w depozycie WBP im. H. Łopacińskiego w Lublinie. Wydawało się, że wszystko zostało stracone i pogrzebane. Znalazła się jednak grupka zapaleńców, którzy nie mogli pogodzić się z takim właśnie obrotem sprawy. Nie dysponując, co prawda, środkami na wydanie obszernej pracy lubelskiego literaturoznawcy, przedstawicieli krasnostawskiej Grupy Literackiej „A4” (P. Grądkowski, M. Jasińska, M. Kargul, D. Włodarczyk) wydali własnym sumptem drugi numer kwartalnika „Poetyckie Łany”. Monografia została poświęcona życiu i twórczości bohatera niniejszej historii. Promocja pisma miała miejsce 8 maja ub. roku w Miejskiej Bibliotece Publicznej w Krasnymstawie. Nakład wyniósł 300 egzemplarzy i do czytelników trafił za darmo, co z pewnością wpłynęło na podniesienie stanu świadomości o tym kim był i co robił tutaj ten nieco dziwny pan od „pasania krów i pisania sonetów”.

Musiałoby jeszcze upłynąć trochę wody w Wieprzu, aby światło dzienne ujrzały w końcu *Linie liryki (wybór sonetów)*. Fakt, że jego autor ma w Krasnymstawie swoją ulicę, ale jak na twórcę tego kalibru, to chyba jednak za mało. Swego czasu na sesji Rady Miasta padł pomysł, aby w rewitalizowanym obecnie Rynku ustawić „ławeczkę Bojarczuka”. Pomysł ze wszech miar godny i chwalebny, lecz w żaden sposób przez lokalnych włodarzy nie podtrzymany. Nałęczów dysponuje „ławeczką Prusa”, a Sanok posiada podobny „mebel” ze starym dobrym wojakiem Szwejkiem. Są też w Krasnymstawie dwie biblioteki - jak na razie „bezimienne”, czyli pozostające bez jakiegoś patrona... Już dłużej nie będę głądził i przeciągał, powiem tylko tyle - dość słów, do książki Panowie i Panie!

Stanisław Bojarczuk, *Linie liryki (wybór sonetów)*. Z rękopisów wydobył, opracował i wstępem opatrzył Józef Zięba. Miejska Biblioteka Publiczna w Krasnymstawie i Wyd. Polihymnia, Krasnostaw-Lublin 2008, ss. 206 (czarno-białe ilustracje).





MAGDA GAŁKOWSKA

Magdalena

prababci

wyszłaś jak się wychodzi ten ostatni raz
za oknem ptaki dawały sygnał do odlotu
została jeszcze chwila a telefon milczał

kobieta która kupowała ci gazety marzła
na balkonie nad kawą i pytała wzrokiem
zatrzymał się na mnie jeden długi wdech

zaciągany jak oczko w pończosze potem cisza
aż stało się jasne że wszystkie sukienki
bielizna i chustki nie są już potrzebne

historie opowiadane z kubkiem słabej kawy
szydełko w rękach cienkie nitki żyłek
powiązane w kształty wzorem twoich świętych

mówiłaś szczęściem dziecko będzie to co dasz
innym nigdy nie pozwól zapłakać po sobie
wiesz że to wszystko mamy zapisane

jak listę zakupów jak pierwsze literki
ułożone w opowieść o kocie i mleku
kołysankę śpiewaną z głową na poduszce

teraz tylko ja będę czytać z tablic
twoje imię i zmiatać żółte liście brzozy
w takim miejscu szumią jak te z wierszy

trzydzieści trzy

dziś pan przyszedł do mnie, mówił
więcej nie zatrujesz rzeki, od tego
są zakłady przemysłowe, produkują
plastyczne rurki. sztuczne włosy lalek

nie dają się uczesać. pokręcone w dotyku
jak szklana wata, jak pakuły. mówił
więcej nie zatrujesz powietrza, od tego
są zakłady chemiczne. blade twarze stażystów

łapią powietrze szeroko otwartymi ustami. dziś
pan przyszedł do mnie. nie wyjaśnił słowem
skąd wzięły się tkanki, mutacje. leczę rany
po wybuchu wystawiam na słońce, jak twarz.

BEATA MAGIER

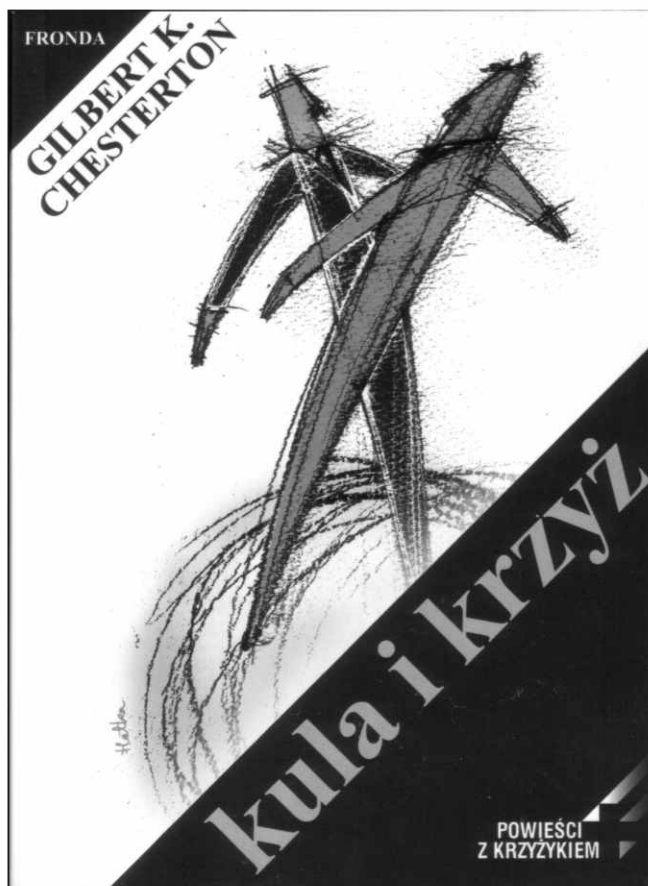
Pisanie książek na tematy religijne w sposób dla czytelnika przystępny, a jednocześnie ciekawy i bez uproszczeń nie jest łatwe. Często literatura taka pełna jest pozycji schematycznych, nudnych, nazbyt „poważnych”, jednostronnych, a jednocześnie trudnych. Są jednak tacy, którym udało się przełamać ten stereotyp. Należy do nich angielski pisarz Gilbert Keith Chesterton (1874-1936), autor powieści, wierszy, nowel, esejów, rozpraw, a nawet sztuk teatralnych. Dzięki nowelom o przygodach księdza Browna obwołano go prezesem Detection Club - Klubu Pisarzy Detektywistycznych, do którego należały także takie sławy jak Agata Christie czy Doroty Sayers. Znany jest jednak głównie jako największy pisarz katolicki XX wieku. Papież Pius XI nazywał go „Obrońcą wiary

katolickiej”. W grudniu 2006 roku rozpoczął się jego proces beatyfikacyjny.

Co wyróżnia Chestertona z grona innych pisarzy tego nurtu? To on jako pierwszy złamał zasadę, że o religii wypada pisać tylko w sposób poważny. Ten głęboko wierzący człowiek nie był katolikiem z urodzenia. Oficjalnie przeszedł na katolicyzm w roku 1922 (a więc już w wieku dojrzałym), co było największym wydarzeniem religijnym ówczesnej Europy. Wyróżniał się bardzo żywym, przenikliwym umysłem i oryginalnością poglądów. W jego wykonaniu humor stał się narzędziem obrony religii, a nie, jak dotychczas, kpiny. Dzięki temu twórczość Chestertona często zaskakuje i pozwala spojrzeć na świat z innej perspektywy.

„Ja myślę, że Boga nie ma. Uważam, że to nie powinno nikogo obchodzić prócz mnie, no i Boga, jeśli istnieje... Ten młodzieniec z gór szkockich jest natomiast zdania, że to również jego sprawa. Dlatego najpierw wybił łaską szybę w mojej redakcji, a potem tą samą łaską usiłował złocić mi skórę. Oczywiście sprzeciwiłem się temu. Oświadczyłem, że jeśli już musimy się bić, powinniśmy obaj mieć kije w garści. Mój przeciwnik wniósł poprawkę do tego wniosku i zaproponował, żebyśmy obaj mieli w rękę stalowe kije. Policja z charakterystycznym brakiem rozsądku nie zgadza się na żaden z naszych wniosków. Skutek zaś jest taki, że wyslizgując się policji uganiamy po całym kraju (...)” - tak można byłoby ustami jednego z bohaterów książki G. K. Chestertona *Kula i krzyż* pokrótce przedstawić fabułę utworu. Zbicie szyby i pojedynek stają się pretekstem do towarzyszenia zaciekłemu przeciwnikom w ich ucieczce przez cały kraj przed policją, ale przede wszystkim do rozważań na temat istoty Boga i wiary, jak zwykle u Chestertona, napisanych ze zdrowym rozsądkiem, angielskim humorem, przy pełnej zaskakujących zwrotów akcji.

Czytelnik towarzyszy więc zajadłemu ateu-



szowi, redaktorowi „Ateisty”, Jamesowi Turnbullowi, i wychowanemu wśród szkockich gór żarliwemu katolikowi, Evanowi Maclanowi. Obaj chcą udowodnić swoje racje nawet kosztem życia. W tym celu jednoczą siły i ze szpadami w dłoniach szukają miejsca, gdzie w spokoju mogliby stoczyć swój pojedynek. Nie jest to łatwe, bo przeciwko sobie mają nie tylko policję i prasę, dla której historia ich pojedynku stała się tematem ważniejszym nawet niż wojna i umierający ludzie. Ale kiedy tylko stają naprzeciw siebie, z żelazem w dłoni i mocnym przekonaniem o konieczności pokonania przeciwnika, zawsze wydarza się coś, co staje im na przeszkodzie. Dzięki temu przeżywają mnóstwo przygód, aby w końcu walkę zamienić w sojusz. Odkrywają, że jest coś, czego obaj nienawidzą bardziej niż kiedykolwiek nienawidzili siebie nawzajem.

Kula i krzyż, jak i inne dzieła Chestertona, napisana jest dla ludzi inteligentnych, ale lekko i dowcipnie, tak, że żaden katolik nie powinien mieć trudności z przeczytaniem tej pozycji. Dużym jej atutem, podobnie jak innych dzieł tego autora, jest umiejętność konstruowania zdań w taki

sposób, że brzmią jak aforyzmy. W 1967 roku PRL-owski Główny Urząd Kontroli Publikacji i Widowisk zablokował wydanie tej książki. W te wakacje ukazała się nakładem wydawnictwa Fronda, inaugurując nową serię wydawniczą „Powieści z krzyżykiem”, w bardzo wygodnej kieszonkowej wersji. Typowo to „frondowe” podejście do ewangelizacji, z możliwości której wydawnictwo nigdy nie rezygnuje, serwowanie ludziom Prawdy językiem, który rozumieją. Redakcja zapowiada rychłe ukazanie się kolejnych pozycji cyklu. W księgarniach wkrótce mają pojawić się najpierw kolejne dzieła Chestertona (*Człowiek, zwany Czwartkiem, Przygody księdza Browna*), a następnie książki innych uznanych pisarzy chrześcijańskich XIX i XX wieku. Chętni do przeczytania wartościowej literatury powinni sięgnąć po tę i inne pozycje z serii „Powieści z krzyżykiem”.

G. K. Chesterton, *Kula i krzyż*, Fronda, Warszawa 2008.



IZABELA KOCZKODAJ

dzień-sen
sklejany z resztek dnia

wspominam:

znaliśmy się już trochę
byliśmy "przyjaciółmi"

tylko
świat nie zmieścił się do języka

ANNA NOGAJ

KRZYK STANISŁAWA ROGALI

Kolejną odsłoną twórczości prozatorskiej Stanisława Rogali jest książka *Nocny krzyk* zawierająca w sobie aż trzy gatunki literackie - opowiadanie, reportaż i dramat, co może zapowiadać interesującą czytelniczą przygodę. O tym, że tak jest naprawdę, można będzie się przekonać tylko w jeden sposób - sięgając po tę lekturę. Zrobią to ci, którzy śledzą artystyczne poczynania autora *Modlitwy o grzech*, natomiast czyniący to po raz pierwszy z pewnością nie będą żałować swojego wyboru. Ruszajmy więc, aby podejrzeć co też takiego przygotował dla swoich czytelników S. Rogala.

Na początku mamy krótkie opowiadanie *Nocny krzyk*, niespełna 6 stronicowe, ale semantycznie brzemienne i niezwykle frapujące. Do końca nie dowiemy się, w jakiej rzeczywistości przebywa nasz bohater, czy to jest senna wizja, realność a może świat wewnętrzny - pełen niewygasłych emocji, dawnych lęków czy zadomowionych na dobre obsesji. A może przestrzeń tego opowiadania rozpina się między tymi trzema płaszczyznami i płynnie przechodzi z jednej w drugą? Tego się nie dowiemy i fascynujące jest to, że każdy może inaczej odczytywać tę prozę, a nawet za każdym kolejnym czytaniem odkrywać nowe sensory i widzieć świat przedstawiony w odmiennych konfiguracjach i kontekstach.

Z pewnością dużą dawkę emocji przyniesie podglądanie (pod)świadomości bohatera - narratora, piastującego urząd wykładowcy prawdopodobnie polonistyki na jednej z uczelni. Wiemy o nim tyle, ile sam o sobie powiedział w początkowej autoprezentacji, że jest profesorem i od lat przyjeżdża do „czerwonego „ miasta na zajęcia ze studentami. Tutaj czasami nocuje w jednym małym pokoiku przylegającym do budynku uczelni. Właściwie jest to cała wiedza na jego temat. I bardzo dobrze, ponieważ możemy oddać się wzmożonej wyobraźni i kawałek po kawałku sklejać fabularne cząstki, aby po lekturze utwo-

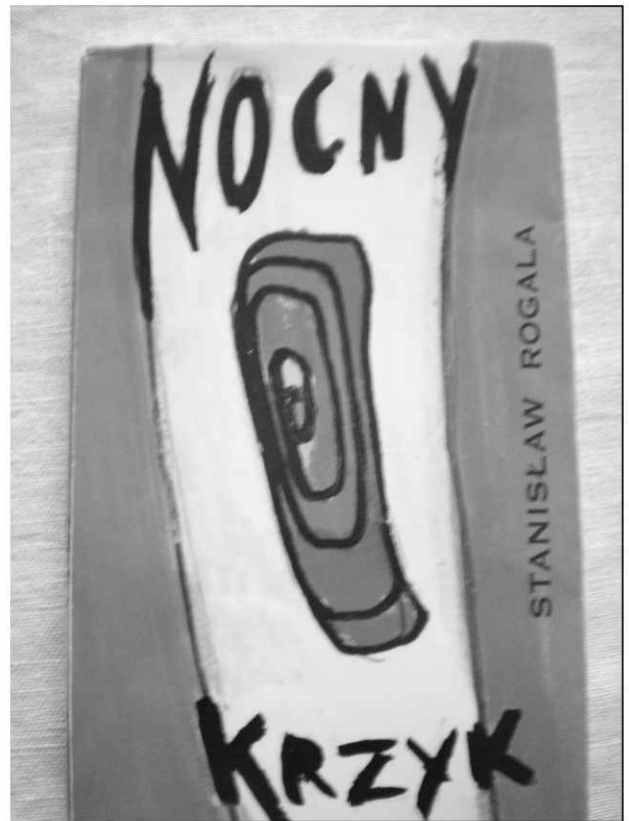
rzył się wykreowany przez nas oczami wyobraźni obraz. S. Rogali nie chodzi o dokładne nakreślenie sylwetki swojego bohatera ale o to, aby przekazać trwającą w nim emocję, dany nastrój. Dlatego też, można powiedzieć, że w opowiadaniu tym występuje pewny ładunek myśli psychologicznej, czego egzemplifikacją może być także dwukrotne wspomnienie o psychoanalizie Freuda - będącej przedmiotem wykładu profesora.

Na trzon fabularny *Nocnego krzyku* składa się w zasadzie jedno wydarzenie (wizja), wokół którego koncentrycznie układają się różne sytuacje mające z nim mniejszy lub większy związek. Świat przedstawiony zbudowany jest w sposób punktowy i tak też należy go odczytywać, łącząc jego efemeryczne i zmienne struktury. Wątki od początku do końca będą się rwać i ukazywać w migawkowych obrazach, co raz po raz zbędzie myliło trop naszej interpretacji. Czytelnik będzie się złościł, aby za chwilę z ciekawością powrócić do danego momentu i od nowa śledzić losy profesora i jego pięknej studentki. Tak, studentki IV roku, ciemnookiej szatynki budzącej w naszym bohaterze zmienne uczucia - od zachwyty nad jej pięknnością do ironizowania z pensjonarskiego stylu życia dziewczyny. Widzimy ich razem w tanecznym uścisku podczas jednej ze szkolnych imprez. Profesor próbuje ją coraz bardziej przytulać do siebie, całować, gdy ta nagle wrywa się i oznajmia, że musi iść, bo jutro ma zaliczenie. W sąsiedztwie tej sceny pojawia się retrospekcyjne ujęcie z dzieciństwa naszego bohatera traktujące o jego pierwszych erotycznych doznaniach mających miejsce podczas podglądania leżącej na sianie Renatki. Wzrastającą temperaturę uniesień chłopca przerywa nagły krzyk - „Ty nicponiu!” Widzimy więc, że pomiędzy tymi dwoma sekwencjami fabularnymi rysują się znaczące asocjacje.

Kolejne relacje między profesorem i Agatą (bo tak ma na imię) zachodzą podczas

egzaminu, którego jej nie zaliczył z powodu, wydawałoby się, dosyć absurdalnego: „Choćby przez to wspomnienie pierzyny nie mogłem uznać jej odpowiedzi podczas pierwszego podejścia”. Pojawia się tu kolejny znak - symbol będący ważną przesłanką interpretacyjną tekstu. Motyw pierzyny występuje w tekście dwukrotnie - podczas wspomnianego wyżej tańca. Bohater porównuje bliskość kobiety, uczucie i ciepło do bufiastej pierzyny, na którą rzucał się kilkakrotnie jako dziecko i wtulał w jej miękkość. Być może poszukuje nieustannie w życiu dorosłym miłości i ciepła ze względu na to, iż doznał tych uczuć zbyt mało? Albo dlatego, że teraz potrzebuje ich tak samo jak wtedy, kiedy był dzieckiem? Rysuje się więc tutaj dramatyczne napięcie między tym co było dawno a tym co jest teraz. To są tylko supozycje i hipotezy, ale jedno jest pewne, że bohater - narrator jest człowiekiem próbującym wypełnić w sobie jakąś wewnętrzną pustkę, tylko jakiej proweniencji?

Bardzo ważny jest także tytuł opowiadania, ponieważ można go interpretować na dwa sposoby. Nie wiadomym jest czy przerażający krzyk dziewczyny budzący pewnej nocy profesora jest realny. Może jest to tylko senny majak albo wewnętrzny głos sumienia bohatera (niewygasłe emocje czy przykre wspomnienia). A więc krzyk z przyszłokolnego ogrodu czy krzyk duszy? Takich pytań w tym krótkim opowiadaniu jest więcej, co sprawia, że czytelnik nie popadnie na pewno w nastrój czytelniczej nudy. Z każdym następnym zdaniem coraz bardziej zapętla się w fabułę próbując ją w ryzyku jakiejś interpretacji, co okazuje się rzeczą bardzo trudną, a zadowolony z tego faktu autor zaciera ręce i puszcza do nas filuternie oczko. Zakończenie jest jeszcze bardziej nieprzewidywane, ale pozostawmy je zasnutą mgłą tajemnicy. Zwracając jeszcze uwagę na stronę formalną tekstu, należy powiedzieć, że napisany jest językiem sprawnym i przejrzystym ze sporą domieszką poetyckiego „akompaniamentu”. Narracja rozpięta między inicja-



cją a eksploracją, nieschematyczna, mocno działa na zmysły. I co najważniejsze ścieżek interpretacyjnych jest wiele i czytelnik ma wolną rękę w „rozhermetyzowaniu” głównych sensów tego opowiadania. Kolejnym utworem zamieszczonym w książce S. Rogali jest reportaż o intrygującym tytule *Spotkalem Sławę*. Ten, kto odpowie na zaproszenie autora będzie mógł wraz z nim i grupą towarzyszących mu przyjaciół pospacerować po urokliwych zakątkach Słowacji. A podróż ta będzie wyjątkowa z tego względu, iż tekst zbudowany jest w oparciu o dwie płaszczyzny; realistyczną i metafizyczną, które raz po raz płynnie w siebie przechodzą myśląc przez to szlaki naszego wędrowania. Czytelnik poruszający się więc traktem geograficznym nawet nie zdąży zauważyć jak znajdzie się w innym wymiarze czasowym i przestrzennym, gdzieś na uboczach miasta w małej kawiarence przy boku opowiadacza i towarzyszącej mu tajemniczej kobiety. Siądzie z nimi przy jednym stoliku, napije się wyjątkowej kawy, aby potem

podglądać ich tulących się do siebie „na kamiennym tarasie między domem kultury a kościołem Św. Pawła”. Tak, tak. I do końca nie będzie pewny czy to się dzieje naprawdę czy cała ta sytuacja jest tylko sennym majakiem. A tą nieodstępną towarzyszką autora jest tytułowa Sława. Razem znikają na długie godziny i snują się leniwie po mieście podziwiając zabytki i prawiąc sobie o miłości, ba, nawet przeżywają ze sobą upojne noce. Oprócz tego Sławy jest wszędzie pełno: to ona oprowadza gości, mówi o historii miasta, recytuje na wieczorku poetyckim wiersze i tańczy w teatrze cygańskim. A co najważniejsze, jest ogólnie podziwiana i każdy chce ją mieć dla siebie. Podczas lektury padnie zapewne nie raz pytanie o jej tożsamość: kim ona jest dla autora i skąd się w ogóle wzięła? I więcej mówić nie trzeba, aby rozrzucone w tekście przez autora zagadki nie zostały rozwiązane zbyt wcześnie.

Należy też wspomnieć, iż obok świata wyznaczonego pulsowaniem wyobraźni, poddanego kreatywnym przemianom znajduje się rzeczywistość realna - również czarująca. Zwięzłym i klarownym językiem, jak na reportaż przystało, autor oddaje klimat Słowacji, a ta do zaoferowania ma bardzo wiele: w migawkowych obrazach będą przesuwać się przed oczami czytelnika: niebanalne krajobrazy, zabytki, sylwetki ludzi. Ruszymy traktem ulic uroczych miasteczek - Ziliny, Bojnic, lipową aleją Hlavną w Koszycach czy popłyniemy Dunajcem obserwując osnieżone masywy skalne Karpat. Dla zainteresowanych pojawią się szczegółowe informacje dopełniające obraz - podane w liczbach i procentach informacje dotyczące czy to go spodarki czy ilości ludzi zamieszkujących poszczególne tereny.

Faktograficzne struktury wycieniowanie są jednak na rzecz ukazania „duszy miasta”, co autor czyni inkrustując tekst lirycznymi wstawkami (np. fragmentami wierszy), a także w celu uwypuklenia swoich przeżyć wewnętrznych. Praktyka stylizacyjna zastosowana przez autora świadczy o jego dużej odpowiedzialności za słowo, ale

również i o wrażliwości. Autor porusza się umiejętnie między powagą a emocją, między realizmem a marzeniem.

Reporterskie penetracje S. Rogali dotyczą więc nie tylko tego co na zewnątrz (czyli opisu walorów krajoznawczych), choć i tę kwestię okrasza często metaforą, ale i tego co zakryte i w różnych odcieniach może być postrzegane, w zależności od punktu jego widzenia.

Uroki Słowacji śledzimy przede wszystkim przez pryzmat wyobraźni pisarza, zaglądając w oko jego obiektywu, w którym przesuwały się jak w kalejdoskopie zamknięte w pojedynczych kadrach migotliwe obrazy. I chociaż zwiedzanie będzie długie i pełne niezwykłych doznań, nie można czuć się zmęczonym, jeśli przy boku będziemy mieć nie tylko dobrego kompana ale i Sławę. To właśnie ją zobaczymy w ostatnim akcencie wędrówki, stojącą na środku drogi ze wzrokiem utkwionym w odjeżdżającym autokarze. Kim ona jest prawdziwą kobietą czy tylko wymysłem autora? A może po prostu „duszą” i opiekunką tego miasta?

Ostatnia część *Nocnego krzyku* S. Rogali stanowi dramat zatytułowany *Dom*. Autor bierze się w nim za bary z tym, co jest bolesne dla naszego narodu i tkwi jak zadra nie tylko w historii, ale przede wszystkim w sercach a często i sumieniach ludzi żyjących w czasach komunistycznego reżimu. Utwór ten przybiera wiec znamiona demaskatorskie, naświetla zło i niehumanitarne postawy „prawych obywateli”, wśród których znajdują się m.in.: Kierownik szkoły (tchórz, kiedy nadarza się okazja ucieka na ciepłą posadę do miasta) i Sołtys. Każdy z nich próbuje się odbrązowić kreując na dobrego chłopca i społecznika, a na boku i kosztem inny załatwia swoje interesy. Jest jednak ktoś, kto stoi na straży dawnych ideałów i wartości moralnych, a jeżeli podejmuje się jakimś zadaniem, to tylko z pobudek etycznych, dla tzw. „idei”. Tą osobą jest Gospodarz stawiający potężny dom dla swojej rodziny rozproszonej po całym świecie: dla syna Kazika (partyzanta, który stracił życie w więzieniu), brata

Walentego (pędzącego swój żywot na emigracji) i najmłodszego syna Jacka. I chociaż ten jest przy jego boku, powoli poddaje się namowom partii, aż w końcu postanawia wyjechać do miasta i zostawia osamotnionego ojca. Mimo to, iż los Gospodarza oparty jest na tragicznych konstatacjach, on nie poddaje się i do końca pozostaje idealistą. Nie zaprzestaje budowy: wznosi potężny dom i przeznaczają go na tzw. Muzeum Chleba, gdzie gromadzi wszelkie pamiątki związane z kulturą i dziedzictwem chłopskim; (kosy, mundury, dokumenty, proporce, broń, portrety, harfy itp.). Na uroczystym otwarciu w chacie zbiera się mnóstwo ludzi; przyjeżdżają dygnitarze, chłopi, państwo i po krótkim przemówieniu Sołtysa zaczyna się tańcowanie. Mało kto rozumie jednak ideę tej inicjatywy; większość myśli, że organizacji Muzeum przyświecał jedynie cel komercyjny, możliwość szybkiego wzbogacenia się. Jacek nie może wybaczyć ojcu, że z domu zrobił śmietnik i że to wszystko powstało tylko dla idei. A Gospodarz wie co robi i chociaż wydaje się, że wszyscy go opuścili, sam tak naprawdę nie jest. Zaprasza na przyjęcie nie tylko ludzi ale i duchy dawnych działaczy czy bojowników na rzecz ojczyzny, tworząc swoisty teatr cieni. Mamy więc po raz kolejny bronowicką chatę, tańce, zjawy i nawet chochoła, z którym biega Jasiak wpychając go w ramiona przerażonych kobiet, mówiąc:

„chochoł to lustro proszę pani,
w którym wszystko widać, tylko twarzy nie”

Bardzo ważna dla interpretacji tekstu jest właśnie postać Jaśka, przez chłopów uważanego za „głupiego”, ale to tylko pozory, bo wcale nie jest takim, jak im się wydaje. To on sypie jak z rękawa celnymi ripostami odpowiadając soczystą przyśpiewką na puste frazesy Sołtysa czy innych chłopów, biega tu i tam podglądając życie mieszkańców i stawiając trafne diagnozy. Jest także właścicielem czapki z wikliny (kolejny symbol) - kolejna asocjacja do *Wesela*

Stanisława Wyspiańskiego - i zrobionego przez siebie Chochoła. Jasiak stanowi więc figurę symboliczną i tajemniczą, wie i widzi więcej od innych.

Wymowa utworu S. Rogali jest uniwersalna. Ukazanie przez autora takiej społeczności może stanowić pretekst do przedstawienia szerszego kontekstu współczesnego świata. Historia powtarza się od wieków i choć zmieniają się system i ludzie, mentalność pozostaje ta sama. Władza mami i obiecuje „nową Polskę”, a wielu idzie za tym głosem, aby po latach się obudzić i zobaczyć, że wszędzie pozostały tylko „cmentarze”, jak pisał Hłasko. Oczywiście pojawiają się jeszcze idealisci, kontestujący zastany porządek mimo wszystko, ale tych jest coraz mniej. Autor staje raz jeszcze w obronie dawnych mitów i archetypów, a z wszelkich postaw konformistycznych delikatnie ironizuje.

Utwór ten na pewno godny jest polecenia nie tylko ze względu na temat jaki podejmuje, ale także na sposób jego przedstawienia. Dramaturgię zdarzeń oddają przekonujące, sprawnie budowane dialogi i dyskretne stopniowanie napięcia do czego należy archaizację języka i przejrzystość stylu.

I na koniec jeszcze takie pytanie. A może i my powinniśmy przejrzeć się w obliczu chochoła słuchając co też takiego wyszeptał nam dzisiaj do ucha?

Nocny krzyk gra na uczuciach, raz pobudza do śmiechu innym razem wprowadza w nastrój głębszej zadumy, jednym słowem emocje dławia gardło. Mimo to, że czyta się ją szybko, po lekturze należy uważnie jej się przyjrzeć i na spokojnie rozważyć kwestie, które zostały w niej zawarte.

Można powiedzieć, że te trzy krótkie teksty to pojedyncze etiudy składające się na symfonię treści i formy rozpisaną piórem Stanisława Rogali.

Stanisław Rogala, *Nocny krzyk*, Kielce 2007, s. 166.





MARIOLA MIKULSKA

mój miś
 nosi twoje imię
 każdej nocy wtulam twarz w ciepły plusz
 tak jak każdego dnia wtulałam głowę
 w twoje ciepłe ramiona
 i stawałam na palcach

przy tobie byłam małą dziewczynką
 moje oczy cieszyły się tobą
 ręce zaplatały się na szyi
 czoło przywierało do twojego czoła
 tak zwyczajnie
 bez tłumaczeń
 bez zbędnych słów

byłeś moim Piotrusiem Panem
 kiedy zniknąłeś
 zaczęłam dorastać

zdążyłeś tylko nauczyć mnie robić latawce
 z papieru

dmuchawce
 zawieszono w niebycie
 i mleczne niebo
 jak pierwszy widok morza
 w brudnej szklance
 z odciskami palców oglądam
 zimne życie
 w linie
 z których nie potrafię czytać

jeśli możesz
 nie mów do mnie: wróżko
 gdybym nią była
 umiałabym cię kochać

wiem
 uderza cię prostota mojego ciała
 nieśmiałe piersi
 dwie asymetryczne kreski na brzuchu
 wystające biodra
 nagie uda
 które pieścisz spojrzeniem

przesuwając dłonią od nadgarstka do
 ramienia
 roztrącasz zapach
 napięta drżąca skóra
 pachnie czekoladą

pełniesz ustami po ramieniu
 i łączysz językiem
 małe czarne kropki
 tworząc konstelacje

twój ciepły oddech
 moje nieme przyzwolenie

powiesz: magia
 a to tylko ciało
 które pragnie

krwawię
 to nie jest słowo wykrzywane rozpaczą
 wypowiadam je obojętna
 do mężczyzny który rozrywa na nowo
 zabliźnione rany
 rozwija bandaże z zakrzepłą czerwienią
 rozcina serce precyzją spojrzenia
 w sposób idealny
 bo nigdy nie miał dla mnie litości

mój bóg o niebieskich oczach

DARIUSZ MAGIER

ŚCIEŻKA PRZEZ SZAROŚĆ - NOTATNIK POETYCKI ANNY BUCHALSKIEJ

W 2007 roku ukazał się debiutancki tomik wierszy Anny Buchalskiej zatytułowany *Ścieżką przez szarość*. Debiut to ważna chwila dla każdego twórcy. Nie chodzi zresztą o sam fakt zaistnienia wydawnictwa, choć miły dla każdego autora, ale o to, że jak nic innego potrafi on opisać, scharakteryzować go, ba, pozwala odbiorcom „sklasyfikować” poetę, wrzucić do jakiejś tam porządkującej szufladki lub przegródki, słowem - zareagować.

Młoda kutnianka, znana już także czytelnikom „Koziegorynku”, serwuje nam coś, co nazwałbym pamiętnikiem (sposprzeżcznikiem?) poetyckim. Konfrontując wyobrażenia o świecie z prozą życia - tak naturalne dla ludzi wchodzących w dorosłość - notuje swoje konstatacje, spostrzeżenia odczucia w formie wierszy. Czytelnikowi zrazu rzuca się w oczy prosty, oddający sedno rzeczy przekaz tytułów poszczególnych utworów-spostrzeżeń, np. *Lękam się siebie, Droga w dorosłość, Różnice między nami, Lęk przed nieznanym, Brak mi wstydu* czy *Wybacz*. Ten techniczny zabieg doskonale wpisuje się w założenie ideowe tomiku i pod względem „rzemieślniczym” jest nie do przecenienia.

Tematyka utworów jest prozaiczna jak życie. Mamy tu zatem wiersze o codzienności, o błahostkach, uczuciowych wznosach i upadkach młodego człowieka - nic innego zatem jak ową tytułową ścieżkę przez szarość. Fakt opatrzenia tego przekazu tak trafnym tytułem świadczą może już o pewnej dojrzałości artystycznej Buchalskiej, która wie co pisze, po co i co chce przekazać czytelnikowi. A przekazać chce przede wszystkim prawdę o sobie. Forma pamiętnika spostrzeżeń narzuciła bowiem autorce konieczność pełnej identyfikacji bohatera tej poezji z jej autorem. Czytelnik nie może mieć w tym względzie żadnych wątpliwości i w tym przypadku możemy

precz odrzucić szkolne przykazanie o nie identyfikowaniu podmiotu lirycznego z autorem wiersza. Buchalska pisze o sobie, swoich nastrojach, charakterze, postępowaniu, stosunkach z osobami z otoczenia. Taki charakter ma przytłaczająca większość tej poezji, by wymienić choćby utwory: *Gadzina, Pragnę być, Być, Poczucie niższości, Brak mi wstydu*.

„Nie jestem
Człowiekiem
Lecz
Uprzywilejowaną
Gadziną
Zmienno-ciepłny
Ustrój
Mózgu
Widziany
W gestach
Gorące serce
I zimne zasady
Ot taki
Przeplatany
Warkoczyk
Na głowie
Niewinnej
Dziewczynki”

(*Gadzina*).

W pewnym momencie staje się to nawet nieco nużące, choć zapewne dla wielu życie wewnętrzne młodych poetek okaże się fascynujące. Oto świat Buchalskiej - ona, jej koledzy, znajomi, sympatie, rodzina itd. Opisy kontaktów z innymi są dla autorki jedynie pretekstem do oddawania siebie i rysowania obrazu swoich stanów. Mamy tu zatem istny notatnik nastrojów w stylu: dziś nastrój - dziś wiersz. Jak choćby w utworze *W smutnej tonacji*:

„Wystarczyło
Kilka sekund

Nadciągnęły
Czarne chmury
Bym je w Tobie
Posmakowała
Wolałabym
Zmoknąć
Wraz z Tobą
Niż cierpieć
Pod wysokim
Ciśnieniem”.

Niezaprzeczalnym plusem poezji Anny Buchalskiej jest łatwość artykułowania własnych przemyśleń i prosta forma tego przekazu. Tutaj nie ma wątpliwości, co nurtuje autorkę, co ją martwi i przestrasza, co zaś cieszy i wprawia w dobry nastrój. Jest to jednak droga zdradliwa i trudna, która czasami biegnie bardzo blisko granicy przesadnej, wręcz infantylnej i przesłodzonej, egzaltacji:

„Ten uśmiech
Ach
Pasikonik
Utopiony w nadziei
Ten blask
Ach
Promieniste wschody
Łaskoczące
Do śmiechu
To spojrzenie
Ach
Bławatek
Tańczący
Na wietrze
A ten dotyk
Ach
Piórko
Co wzbija
Ciałko
Ku górze”

(*Szczęście*),

czasem razi przerostem wymuszonego artyzmu (*Wsluchaj się*), ale czasami błysnie genialną wprost frazą, jak ta z wiersza *Jak paczka zapalek*:

„Na pudełku
Wypisano mój życiorys



Za - nadzieja
Pałka - upadek
Najpierw wybuch
Chwila spokoju
I zwęglony odpadek
Kolejna próba
Kolejna ekspresja
Kolejna porażka
Oto ja”.

Niekiedy poezja Buchalskiej tnie „ścieżkę przez szarość” niczym galopujący rumak, lecz autorka potrafi również fałszywym pociągnięciem pióra wytrącić czytelnika z rytmu. Taki dysonans rytmiczny mamy np. w obiecującym na początku wierszu *Lęk przed nieznanym*:

„Powróć do mnie
Chwilo
Co radością mnie karmiłaś
Wróć proszę
Aniele
Którego odtrąciłam
Wróć
Godzino zdradzona
Minuto łzawa
Muzo smutna

Chcę wpiąć się we wspomnienia
W to co znane jest
I bezpieczne”.

Moim absolutnym faworytem jest wiersz
Różnice między nami, w którym mamy
nowatorsko, acz całkowicie przekonująco,
wyartykułowaną przepaść psychiczną
dzielącą kobietę i mężczyznę, pierwiastek
kobiecy i męski w świecie ludzkim. I taką
właśnie Buchalską życzylibym sobie czytać
w przyszłości: nie tracącej niczego z umie-
jętności prostego przekazywania myśli, a
jednocześnie potrafiącej ubrać tę myśl w
słowa adekwatne do treści i nadać poezji
ową lekkość, która sprawia, że lektura staje
się przyjemnością samą w sobie, a dodat-
kowo pozostawia po sobie drzwi otwarte
dla własnych przemyśleń.

„Widzisz fale
A ja krople łez
Słyszysz krzyk
A ja wołanie
Ubierasz myśli w słowa
Dla potrzeb poezji

Zaś ja uczucia
Dla wolności ducha
Umiesz mówić Kocham
A ja umiem kochać
Ty biegiesz przez życie
Ja stoję i wszystko dostrzegam
Stawiasz duże kroki
Jakbyś chciał ominąć prawdę
Ja poruszam się kroczkami
Badając każdy odgłos
Płynący z wszechświata”

(*Różnice między nami*).

Pod względem edytorskim tomik *Ścieżką przez szarość* wydaje się być trafnie dopasowany do poezji Anny Buchalskiej - to niewątpliwa zasługa redaktorska Anny Garbaczowej i Kazimierza Lindy ze Stowarzyszenia Literackiego „Witryna” w Stalowej Woli, pod patronatem którego również się ukazał. Jego karty wzbogacają grafiki wykonane ręką autorki, które stanowią integralną część przekazu artystycznego książki.

Anna Buchalska, *Ścieżką przez szarość*, Kutno 2008.



KAMILA SZUTOWSKA

*
co mrugnięcie oka
stwarza mnie chwila
czasem o krok za wcześniej
o ruch ręki za późno

obnażyłam nasze zdjęcie z barw

tam mój uśmiech jak ptak
zrywa się do lotu
i twarz moja tobie do twarzy
na odległość rzęsy

za zdjęciu w kolorze sepia
nasza miłość taka bezpieczna

Rozmowy

zapalam Ci znicz
sobie papierosa
jedna zapałka wystarcza

*
znajome oparcia kawiarnianych krzeseł
nieznośnie uciskają w plecy

tak jakby życie nie do pary
było nie na miejscu

MARIUSZ KARGUL

NA DROGACH DO ŚWIATA WSPÓŁCZULNEGO

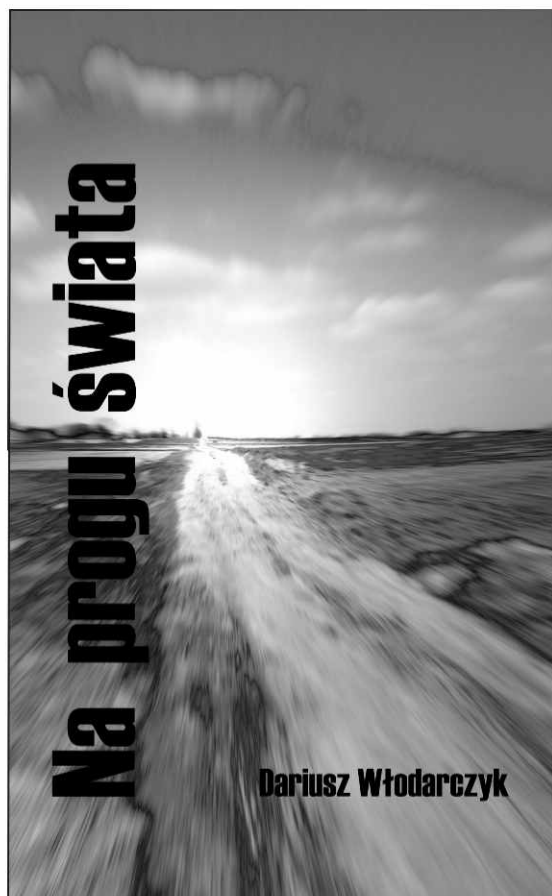
Z Darkiem okrążyliśmy niejedną beczkę soli. Metafizycznym kopniakiem wyważaliśmy nie raz dawno otwarte przez kogoś na oścież drzwi. Bywało tak, że i kilku spadającym gwiazdom zajrzało się pod ogony. Powiem więcej - my nawet ze sobą spaliszmy (w sensie regeneracyjnym, nie konsumpcyjnym). To wszystko daje mi pewien asumpt do wypowiedzenia kilku słów na temat osoby szacownego debiutanta i jego twórczości.

W życiu ciężko jest znaleźć kogoś, komu można bezgranicznie zaufać. Zazwyczaj zostawiamy sobie jakiś „limes” intymności, poza obręb którego wpuszczamy zaiste wybranych. W moim przypadku taką osobą jest właśnie Darek Włodarczyk. Przyjaźnimy się kilka dobrych lat, „dłubiemy” coś przy krasnostawskiej Grupie Literackiej „A 4” i „klecimy” w „Nestorze”. Dawniej chadzaliśmy na długie wyprawy, kontemplując uroki krain przybocznych, teraz - zaopatrzeni w szacowne Małżonki - grzejemy kości przy domowym ognisku, rzucając czasem przez sen jakieś niezrozumiałe zdania i okrzyki.

Darek był dla mnie, i pozostaje nadal, ostoją zdrowego rozsądku i swego rodzaju „strefą kontrolowanego zgniotu”. Kiedy w przepływie szalonych wizji wrywam się z coraz to nowymi pomysłami - on spokojnie je rozważa, odradza to i owo, pochwała lub gani to czy tamto. Czasami ekspulsuję się w duchu: „Stary Pierdoło, namyślaj się szybciej i dawaj mi tu konkretnie znać, co i jak!”. A potem w wielu przypadkach okazuje się, że spokój i opanowanie Darka pozwala mi unikać kompromitacji w sytuacjach literacko-towarzyskich. Gdyby nie był „drogowcem” (pracuje w zamoj-skim Oddziale Generalnej Dyrekcji Dróg i Autostrad), z powodzeniem mógłby kierować ruchem statków kosmicznych. Jeśli kiedykolwiek znajdę się na orbicie okołozemskiej i stracę w niej rozeznanie, mam nadzieję, że to właśnie stonowany głos pana Włodarczyka sprowadzi mnie z powrotem na właściwe tory, przepraszam

trajektorie.

Jako się rzekło, Darka interesuje poezja, nauki ścisłe, astronomia, życie natury i wszelakie dziwi świata tego dostępne ludzkiej percepcji. On się nad tym wszystkim pochyla, skupia, analizuje i docieka. Jeżeli zdarzają się chwile, w których ucieka się do pomocy „szkiełka i oka”, to nawet wówczas nie jest ono bezduszne i zimne, gdyż nosi je blisko serca. Czytając jego wiersze odnoszę wrażenie poruszania się po wielkim ogrodzie dobrodusznego zielarza. Każdy ma jakieś przypadłości, na które szuka skutecznego antidotum. Mnie zdarza się raz na jakiś czas zajrzeć do „apteki pana Darka”. I jeśli nie znajduję w niej recept na poprawę ludzkiego losu, zaprowadzenie pokoju na świecie, tudzież zwiększenie opadów atmosferycznych w Somalii, za każdym razem sływa na mnie



jakieś ukojenie i dobry nastrój. W kilku przypadkach znam bowiem okoliczności powstania konkretnego utworu lub też wiem, co Autor miał tak naprawdę na myśli, a to już skarb pierwszej wielkości.

Kiedy piszę te słowa, debiutancki tomik poezji Darka Włodarczyka *Na progu świata* (składający się z trzech mini-części: *Na progu świata*, *Sen o wędrówce*, *W gabinecie luster*) przechodzi końcowy etap „obróbki literackiej” w szacownym lubelskim Wydawnictwie „Norbertinum”. Trudno więc powiedzieć, co ukaże się najpierw - niniejszy numer „Koziegorynku” czy anonsowany tutaj debiutancki wybór wierszy. Tak czy inaczej nie zachęcam nachalnie do jego lektury, lecz delikatnie sugeruję sięgnięcie po tę książeczkę w wolnej, albo i bolesnej chwili.

Byłem dyskretnym świadkiem kolejnych etapów jej powstawania i przynajmniej ręczę za jedno: to nie jest tomik „robiony” za wszelką cenę, „na siłę”, aby tylko choć na chwilę zaistnieć w tym jednym wielkim kotle współczesnego życia literackiego. Gdyby Autorem kierowały tego rodzaju pobudki, Darek Włodarczyk miałby do dzisiaj na swym „koncie” co najmniej kilka pozycji wydawniczych. A on tak nie chciał. Przez kilkanaście miesięcy grzebał w swoich notatkach, wybierał to, co w nich najlepsze i jeszcze sam na siebie ciskał gromy, że do końca nie wie czy dany wybór ma prawo ujrzeć światło

dzienne i czy w sposób reprezentatywny oddaje charakter jego twórczości... Tak, jak chociażby widać to na przykładzie poniższego wiersza:

kolekcjonuję
wszystko co zawodne
ślepe drogi
puste słowa
błędne schematy
wyjmuję z siebie
i wkładam do szuflady

to moja podręczna
składnica map

Darek jest systematycznym i „poukładanym” człowiekiem. Potrafi zaprojektować drogę, która nikogo nie wyprowadzi w pole, i zbudować most, który się nie spali i nie runie komuś na głowę. Poza tym, a może właśnie przede wszystkim, nosi ze sobą mały notatnik, w którym zapisuje okruchy myśli, uczuć i zdarzeń. A potem, po wielu katuszach i ciężkiej robocie „na warsztacie” wychodzi z tego małe cudenko w postaci kilku lub - co najwyżej kilkunastu - wersów.

Dariusz Włodarczyk, *Na progu świata*, Wyd. Norbertinum, Lublin 2008.



JADWIGA GRABARZ

Marija

/Marii Pakos, przyjaciółce z lat szkolnych/

nasze przyjaźnie leżały na chodniku jak pięć groszy,
a ona biegła za miasto w smukłą jesień -
spadłe liście dobrały się odcieniem do brwi, do kolczyka
na zmarszczonym łuku - jakby już tam była

pamiętam jeszcze *pekaesy* - wołały za nią *zdrowaś Mario*,
a ona wciąż bawiła się kefiją

nie pamiętam jak wołali na nią chłopcy

HENRYK RADEJ

ZGIEŁK JEDNEJ NOCY

Zamieszanie wokół imprezy było tak wielkie, że nie wypadało tam nie być. O zdarzeniu donosiły lokalne media, publikując wykazy nazwisk i instytucji, które tej nocy mają wyjść na ulice. Na ulice miały także wylegać tłumy spragnione kultury. A skoro wyległy tłumy, wylegli też artyści. Zarówno ci, których nazwiska kreśli się z namaszczeniem, jak i ci, o których mało kto słyszał. Tej nocy oczekiwano w Lublinie, tak jakby podczas niej miało wydarzyć się coś, czego jeszcze nie było.

Pomieszczenie pojęciowe nocy i ulicy zazwyczaj kojarzy mi się z... uliczką, która niezbyt gustownie ubrana kusi przechodniów swoimi zużyтыми wdziękami. Rozumiem, że aby się sprzedać, ona musi wyjść pod latarnię, ale czy kultura ze swoim bogactwem form i przekazu musi czynić to samo w ciągu jednej nocy, aby później lepiej sprzedawać się przez kolejne miesiące?

Na szczęście, nie wszyscy twórcy dali się namówić na uliczne pokazy swoich możliwości. Spora część galerii, klubów i ośrodków kultury pozostała u siebie, otwierając szeroko swoje bramy dla widzów. Niestety, liczna grupa słuchaczy siłą rzeczy musiała pozostać na ulicy z braku wolnych miejsc wewnątrz. Więc może jednak lepiej byłoby pokazać co trzeba na ulicy, choćby z uszczerbkiem dla poziomu prezentacji? Taka jest jednak cena, jeśli oferuje się ludowi coś podczas akcji jednej nocy, a do czego ma utrudniony dostęp w pozostałe dni i wieczory. Należy jednak zauważyć szlachetność artystów i organizatorów - wszystko było za darmo. Niezapełnie, bo na pewno za cenę snu i nerwów oraz piwa w ulicznych ogródkach i pubach, gdzie też brzdąkali jacyś grajkowie.

Tej nocy lubelska kultura (o ile jest taka!) wyraźnie została podzielona na tę wyższą - zamkniętą dla plebsu - i tę masową dla widza spod piwnego parasola lub zabłąkanego na ulicach i zagubionego w ofercie prawie 200 propozycji ukulturalnienia się

do czasu wschodu słońca. Grupy nie-szczęśliwców cierpliwie szturmowały wirydarz zakonu Dominikanów, gdzie znalazł przytulisko ze swoim spektaklem Ośrodek Praktyk Teatralnych „Gardzienice” oraz foyer Teatru im. J. Osterwy wystawiającego „Sarmację”. Podobno kilka dni wcześniej rozprowadzano jakieś wejściówki. Widzowie przyjezdni spoza Lublina klęli na to niezbyt kulturalnie. Na otarcie łez (i piany - bynajmniej nie po piwie) biegli jeszcze do Ogródu Saskiego, by - choć z oddalenia - popatrzeć na „Transatlantyk” Gombrowicza w wykonaniu Teatru Provisorium. Smakosze reportażu radiowego i poezji też mieli kłopoty z wejściem do Muzeum Literatury im. J. Czechowicza. Dla tych redakcja „Akcentu” nieopodał serwowala wiersze z beczki. Każdy poeta mógł się wreszcie poczuć wieszczem przemawiającym do tłumu i rozdać trochę swoich wierszy, których na ogół nie chcą do handlu przyjąć księgarnie i nie kupuje zwykły czytelnik.

W zaułkach i na placach Starego Miasta głosy kultury siłą faktu konkurowały ze sobą. Ludowe kapele usiłowały zagłuszyć poetów, ci przekrzykiwali komentarz do pokazów filmowych na pobliskiej ścianie Trybunału Koronnego. Nieco dalej rozbrzmiewały pieśni chóralne gospel i rockowe produkcje zespołu bez nazwy. A tłum dreptał i patrzył, dreptał i słuchał i wcale się nie dziwował, targany problemem wyboru między kabaretami a koncertem w bazylice. Jeśli organizatorom „Nocy kultury” chodziło o wyciągnięcie ludzi na ulice, to cel osiągnęli. Gorzej z całą resztą. Niektóre produkcje artystyczne nie sprawdziły się w plenerze, a ich wykonanie trąciło chałturą. Sprawdziło się stare powiedzenie: co za dużo, to niezdrowo, albo bardziej nowoczesne: ilość przekłada się na jakość. W rezultacie, niejeden uczestnik przyciśnięty (do ściany!) naturalną potrzebą wybierał miejski szalet przy Placu Litewskim. A tu czekała go nie-

spodzianka w postaci instalacji plastyka Koziary i dopadał kolejny dylemat, czy wypada sikać pod dzieła sztuki? Rozterek takich zapewne nie mieli słuchacze koncertów muzyki pop na błoniach pod zamkiem i salonowcy wystaw w galeriach. Oczywiście z powodu różnych uwarunkowań socjalnych.

Całe szczęście, że na tej jednej nocy kultura się nie kończy ani nie zaczyna. Uświadomili to wszystkim zawiedzionym autorzy wystawy złożonej z plakatów, zaproszeń, katalogów pod nazwą „Remanent Kultury” na ogrodzeniu Teatru w Budowie i Centrum Kultury. Jednym słowem, naoznie przypomniano znaczące imprezy kulturalne w Lublinie, jakie odbyły się w ciągu minionego roku. W perspektywie aspiracji Lublina do Europejskiej Stolicy

Kultury 2016 ważna jest świadomość trwałej i systematycznej działalności kulturalnej środowisk twórczych, a nie tylko jedna noc zabawy urządzonej bardziej na użytek mediów. Dobrze byłoby, aby do tych kulturalnych efektów widownia miała łatwy i stały dostęp. Co przeszkadza, aby częściej organizować spektakle, koncerty i spotkania w miejscach sprawdzonych już podczas dwóch „nocy kultury”? Zapewne tylko gotowość artystów i organizatorów. Powtórzenie kolejnej „nocy” w takiej samej formule za rok może poskutkować nie tylko strajkiem filharmoników z powodów płacowych, ale też absencją grupy odbiorców, która nie będzie chciała stać w kolejce „po kulturę”.



7/8 CZERWCA 2008 - MANIFESTACJA KULTURY LUBLINA
Europejska Stolica Kultury LUBLIN2016 www.nockultury.pl



PHILLIP A. ELLIS

Wiersze ze zbioru *Travelling North (W podróży na północ)*
napisanym na doroczny konkurs poetycki wydawnictwa Press Press w 2008

Wspomnienia drzew

W przeszłości,
kiedy byłem młodszy,
stawałem wysoko
na moście ponad
pociągami w dole
odjeżdżającymi na północ.

I patrzyłem
przez lornetkę mojego brata
na sodowe światła lamp
zawsze w kierunku północnym
i w wietrzne noce
kiedy się zbliżał listopad,

gałęzie potłukły lornetkę
szkła się rozprysły jak fala na skale.

Mount Improbable

Chociaż zostawiony w tyle
ten kościół w podróży na
północ

i został
w tyle

Skąd pamiętam
ścinający chłód
tak jak pamiętam, moja skóra

pokryta,
coś jakby szronem.

I łamię
rym

kiedy się
staram oddychać.

W podróży na północ

W podróży na północ,
w pociągu. Czytam
graffiti, spłowiałe;
tutaj mnie zobaczysz.
Spójrz przez szybę pociągu
jadącego przez miasto Thirroul
i tam jestem śniąc poezję. My
śnimy poezję. My jedziemy
przez miasto Thirroul i ja
tutaj jestem. Spójrz przez szybę
i mnie zobaczysz
czytającego graffiti, spłowiałe
w pociągu. Podróżuję
na północ.

Przekład Tomasz Krzykała